

y nasz

mnie?

STRADUJE!

KOMEDYA W JEDNYM AKCIE.

O S O B Y:

JACENTY ŚLEPOWROŃSKI, obywatel ziemski.

BARNABA, jego ekonom,

WIERZGALSKI.

ANNA, jego żona.

JÓZIO }
KOCIO } dzieci Wierzgalskich.

JOASIA, służąca

Rzecz w mieszkaniu Wierzgalskich.

Izba na poddaszu. Drzwi z prawej do drugiej izby; okno z lewej; główne wejście w środku. Stołki drewniane, dwa stoły, szafka z talerzami.

SCENA PIERWSZA.

JACENTY wchodzi głębia, strudzony, w najgorszym humorze.

JACENTY: Milion milionów fur djabłów! Aaah! Zniszczę, straduję, z torbami puszcze! Z torbami! jak mi Bóg miły!.. Na taki skwar, kurz, zaduch, kazać mi nogi łamać, kark kręcić po jakichś dziurach, przedpieklach, wertepach! Aaah, tego nadto, tego zawiele!.. Czekać, mości Wierzgalski, rozprawimy się nie na żarty! Zniszczę, straduję, do ciupy wsadzę a swoje odbiorę, jakem Jacenty, odbiorę!.. Uf, uf, ledwie żyję, ledwie się duch we mnie kołaczę! (siada). Nowowilcza ulica! Nowowilcza! słyszał kto co podobnego? Cóż to, czy oni tu jakich nowych wilków wynaleźli, czy co? Przyszedłem 118 schodków! rachowałem—cztery piętra, nie licząc antresoli! A bodaj was! Gdzie ta hołota się lokuje!.. Ale ostatni raz, ostatni, jak żonę i dzieci kocham, dałem się złapać tak sromotnie. Od dziś, grosza nie pożyczę nikomu, choćby z głodu marł, choćby mi się u nóg czołgał, nie po-

żyć! Słowo szlachcica!.. Uf! krzyż... nogi... i w gardle zaschło, pot dziurgiem leje się z czoła (ociera czoło) Nowowilcza — wołam na dorożkarza — a ten w nogi; drugi to sam! puszczam się per pedes, nawołując po drodze na dryndy... jakby się zmówili kanalie... Uf! 118 schodów! Uf! a mnie to poco?.. A mnie dyabli po tem wszystkiem!

(Wchodzi zadyszany Barnaba).

SCENA DRUGA.

JACENTY, BARNABA.

JACENTY. Aaa, wgramoliłeś się acan nareszcie! A co? warto komu wygodzić w potrzebie? Jak do pożyczki to są, z pod ziemi wyłazą — jak do oddania, kamień w wodę! Hołota przekłęta! Ale usiądź że acan, usiądź, bo i ciebie w krzyżach łupi.

BARNABA: Dziękuję wielmożnemu panu, człek, chwalić Boga, nie taki jeszcze wiekowy — nie taki wiekowy.

JACENTY (z uśmiechem): Ph! daj go katu! Acan widzę młodzieniaszka chcesz udawać! Głupiś acan — starszyś odemnie... a jać już przecie rachuję z górą...

BARNABA (przerywa): Eh, proszę wielmożnego pana, tego tam rachować nie trzeba, lata nie owce, nie zginą, nikt ich nie ukradnie. Zawsze jednak jam beżżenny...

JACENTY: Ba, ba, kawaler! Sześćdziesiąt latek! w sam raz do żeniaczki! dojrzały, dojrzały!
(Barnaba uśmiecha się słodko, jakgdyby mówił: „i czemużby nie, oj, oj“).

Idź acan do licha! at, stary waryat! (rozglądając się do koła.) Lecz tu nie widzę żywej duszy... Termin minął od pół roku, a pieniędzy ni widu, ni słyhu! Tysiąc rubli nie bagatela... i jam w tarapatach, i u mnie się nie przelewa... A choćby i tak, to moja własność do kroćset i odebrać prawo mam... No, mam — czy nie? Cóż acan tak gębę zamurowałaś i milczysz?

BARNABA (kwaśno): Eh, bo wielmożny pan tam wiecznie z onymi latami!.. Zresztą co tu gadać... dość przecie okiem rzucić dokoła, by zrozumieć, żeśmy się tu windowali po próżnicy. Z pustego i sam dyabeł nie należy — nie należy.

JACENTY (rozglądając się): Gwałtu! co acan pleciesz!.. Prawda, prawda do dyaska! Ściany gołe, stołki trzech groszy nie warte, aj, aj, źle, bardzo źle!.. (po chwili). A, acan to namówiłeś mnie do tej pożyczki... Teraz zkąd odbiorę? he? zkąd? pytam.

BARNABA: Ja wielmożnego pana namówiłem? ja? ja!

JACENTY: Masz tobie! Wyprzeć się gotów! Wszystka krew się we mnie burzy!.. Nie acan to przed dwoma laty suszyłeś mi wciąż głowę. „Chryste panie, cóż to za nędza u tych Wierzgalskich! pomór na bydło, grad zboże wymłócił, wicher obalił stodołę!“ I tak codzień, codzień znosiłeś mi acan coś nowego!

BARNABA: Ano, bo jużci truło mnie, że uczciwym ludziskom zawdy wiatr w oczy, wiatr w oczy! A Wierzgalskiego znała cała okolica, że zacny był z dziada pradziada i nie z własnej winy podupał.

JACENTY: I nie z mojej także. Co mnie do tego! co mnie do tego!

BARNABA: Jużci do tego! boć to nie żaden furfant farmazon, jeno krew nasza, krew szlachecka.

JACENTY: Równy żeby nie acan, ani by im w głowie prosić mnie o pieniądze.

BARNABA: A, wielmożny pan sam ciągiem o nich rozpytywał a już skoro wlaź do chałupy, i naocznie spenetrował co się święci — duchem do mieszka... nawet w tajemnicy przedemną. Dopiero sam Wierzgalski ze łzami opowiedział mi, że i bez grosza procentu...

JACENTY: Ze łzami, ze łzami! acan tym łzom wierzyszl... Toć po sprzedaży folwarczku okroiło mu się grosza — oddał mi co? figę, figę malowaną. Wyniósł się chyłkiem do Warszawy i ani pary z ust. (wstaje). Aj, aj, nogi, krzyż! Zniszczę, straduję, komornika przyślę! Milion milionów! (woła). Hej! czy tu niema nikogo? hej!... Zobaczno acan w drugiej izbie... aj, aj, krzyż! hołota przebrzydła!

BARNABA (zaglądając przez dziurkę od klucza): Nie widać nikogo... A nie, nie — swęda się ktoś... jakaś spódniczka... młoda, młoda!

JACENTY: Przywołaj — aj, w gardle sucho niby na klepisku.

BARNABA (uchylając drzwi): Hm... hm... panno! panielko!... Możnaby wszystko wynieść ze szczętem, ze szczętem.

JACENTY: Aha, możnaby — gdyby było co!
(Wchodzi Joasia z prawej).

SCENA TRZECIA.

JOASIA, BARNABA, JACENTY.

JOASIA (wystraszona): A co to? a do kogo to? zapomniałam zaryglować... (d. s.) Jezus Marya! może to złodziej!

JACENTY: Moja panno, — wszak tu mieszka pan Wierzgalski? Tylko proszę prawdę — bez wykrętów, bo ja z nim widzieć się muszę — koniecznie.

JOASIA: A na co to panu?

JACENTY: Milionkroć! interes mam pilny. Idź panna, daj znać, że pan Jacenty Ślepowroński z Żabiej-Łapy przyjechał i żąda widzieć się natychmiast. — No, czegoż stoisz i oczy wytrzeszczasz? Marsz!

JOASIA: Kiedy... bo pana nie masz. Wychodzi równo ze świtem do fabryki, do onego nowego domu, co go murują, tam het, het, pod okopami. Nasz pan tam pilnuje — rządcą jest.

JACENTY (d. s.): A niech go wszyscy... Śliczny z niego rządcą! Ślicznie rządził u siebie aż się urządził... na dziedzińcu 118 schodów na darmo! Kiedyż wraca przynajmniej?

JOASIA: Na obiad.

JACENTY: O której?... no, za godzinę? za dwie? gadajże panna prędzej!

JOASIA: Oo! Matko Boska, jaki to pan w gorącej wodzie kąpany. Wraca w południe.

JACENTY (spoglądając na zegarek): Po dziesiątej do-

piero! Co począć? Drugi raz przecie nie będę windował się na czwarte piętro... bodaj to milion fur dyabłów!... (do Barnaby) To acan winienesz wszystkiemu. (do Joasi) Może chociaż pani jest?

JOASIA: Pani także od rana w magazynie — bieliznę szyje.

JACENTY: Skaranie Boże! (grozi Barnabie). (Po chwili) Moja panno proszę o szklanę wody, umieram z pragnienia.
(Joasia odchodzi na prawo).

SCENA CZWARTA.

JACENTY, BARNABA.

JACENTY: A to mi się wiedzie! ani słowa! Przytem ten skweres z wełną...

BARNABA: Nie mówiłem, sprzedać wełnę na miejscu po 86 — w Warszawie więcej nie dadzą, nie dadzą, — ale wielmożny pan się uparł, żydów wygonił, wełnę zwiózł do miasta a teraz i po 84 dać nie chcą. Latoś dowóz straszny. Żydy dobrze dawały, dobrze dawały.

JACENTY: At, cicho byś acan był.

BARNABA: Łebski interes!

JACENTY: Łebski nie łebski, tak mi się podobało i kwita!

BARNABA: Co na to powie wielmożna dziedziczka?

JACENTY (nagle zaszępony): Aj, aj, Stefcia! brmm, Stefcia.

BARNABA: Co powie dowiedziawszy się...

JACENTY: No cóż! głowy mi nie urwie przecie.

BARNABA: Urwać nie urwie — naturalnie — ale ususzy, jak Bóg w niebie, ususzy!

JACENTY: At, nie przedrwiwałbyś acan! Wiesz, że ze Stefcią żartów niema.

BARNABA: Oj, co niema, to niema — święta prawda, wielmożny panie.

JACENTY: To też możeby lepiej nie przyznać się do tego głupstwa z wełną.

BARNABA: A nawet pochwalić się, żeśmy dostali po 88 i pół — po 88 i pół.

JACENTY: Zapewne — tylko że skoro zażąda rachunku z pieniędzy, to co? no, co? Skłamię, że wydałem na sprawunki w Warszawie, to wnet: a na jakie? a gdzie? a poco? a dlaczego? A ja się popłaczę, pogmatwam, bom w języku nie zbyt chybki — i Stefcia w mig zwącha szachrajstwo; bo ona ma nos, ho, ho, ho!

BARNABA: Ba, ba, ba!

JACENTY: Pi, pi, pi! Tembardziej że ułożyła sobie odnowić meble w tym roku i fortepian kupić dla Kazi, którą już pora uczyć grać. Tak sobie postanowiła — a acan wiesz, że skoro Stefcia cobądź postanowi, to ho, ho, ho!

BARNABA: Ba, ba, ba!

JACENTY: Pi, pi, pi! Niema gadania, z kąd wziąć to wziąć, a gotówka być musi... dla Stefci. Ja temu Wierzgalskiemu z gardła wydrę, wyduszę! Warszawy im się chce, państwa, fanabery!... edukowania dzieci, a im dyabli po edu-

kacy? Kartofle sadzić, buraki pleć, to ich powołanie. — Szlachta! racya fizyka! Co tam dziś herb! Rubel herbem, cnota, Bogiem! Takie czasy i kwita. Ot, widzisz, służącą sobie trzymają, jeszcze jaką młodą i... i...

BARNABA: Ano i gładką, dalibóg wcale gładką!

JACENTY: O! patrzcie go! zauważył, stary birbant. — A, gładka bestyjka, gładka! rumiana, pulchniutka, aż człękowi na jej widok lat ubywa i radby... dalejże w koperczaki! (wołając ku prawej). Panienko, no a cóż tam ta woda? už mi język do podniebienia przysechł. A w dodatku, głodnym jak chart.

BARNABA: Radziłem wstąpić na śniadanko, żołądek zaopatrzyć...

JACENTY: Na połędwicę z maderą, mnia, mnia!

(Joasia wnosi szklankę wody).

SCENA PIĄTA.

JACENTY, JOASIA, BARNABA.

JACENTY: A przeciel (cofając się). Co to! mydliny?

JOASIA (urazona): Eee! pan znowu! Woda.

JACENTY: Do golenia? Ja prosiłem do picia.

JOASIA: Z wodociągu — wszyscy taką pijemy w Warszawie i smakuje nam.

JACENTY: A winszuję, winszuję! Tęgo też wyglądacie, niby śledzie marynowane. — Ph! jabym się w niej myć nie chciał. Możeby panienska przyniosła mi piwa, albo lepiej

wina reńskiego i wody selcerskiej, a także bułeczek parę i sera szwajcarskiego, bo mi się strasznie woły kręca, tu...

JOASIA: Skoro zejdę na dół, któż obiadu dopatrzy...

JACENTY: Masz tobie! jeszcze im garnków pilnować! Dażem sobie, da!

BARNABA: Zejdź panna, ja dam baczenie.

(Joasia, otrzymawszy pieniądze od Jacentego, wybiega głębia).

JACENTY: Acan tymczasem zajrzyj dalej, może jakie graty porządniejsze w drugiej izbie.

(Barnaba znika na prawo).

SCENA SZÓSTA.

JACENTY.

JACENTY (sam): Boże, Boże, co ja powiem przed Stefcią? boć to nie pierwszy raz zna takie u mnie tarapaty. Nazarywali ci mnie ludziska, nazarywali siła!... „Sąsiedzie ratuj, nieszczęście, nieurodzaj, dzieci drobne, żona chora“ — bo u tej kanalii o zakład żony drobne i dzieci... nie, dzieci chore i żony drob... nie! eh! Ja się bronię, tłumaczę... aż znużony dobywam sakwy i... (czyni gest jakby komu w rękę wsuwał pieniądze ukradkiem) dla zatkania gęby. Później od Stefci krzyż pański znoszę. No, ale tym razem finis, finis, jakem Jacenty Ślepowroński! Pokażę, że i ja mam energię, żem nie szlafmyca, — i w pole wywieść się nie dam! Dowiodę, jak mi Bóg miły, przekonam Stefcię i wszystkich...

(Joasia wbiega zadyszana z butelkami i ciastem).

SCENA SIÓDMA.

JACENTY, JOASIA.

JOASIA. Sera zabrakło, wzięłam w to miejsce angielskich biszkoptów (ustawia na stole). A tu, reszta drobnych.

JACENTY (odsuwając pieniądze): Reszta za fatygę (zabiera się do butelek). Wypijemy za nasze zdrowie (nalewa dwie szklanki wody selcerskiej z winem, trąca się z Joasią i wypija). Ph! do czarta, cóż to za mikstura!

JOASIA: Nie dobre? Albo to na naszej ulicy dostanie co porządnego!

JACENTY (wychylając drugą): Ph! kwas aż gębę na drugą stronę wykrzywia! Wykrzywiona, co!

JOASIA: Niech pan zagryzie biszkoptem.

JACENTY (je): Ajaj! jakie twarde! Miałś też panna co przynieść, jak Boga kocham!

JOASIA (chrupiąc): Eh, smaczne — niech pan nie grymasi.

JACENTY (je): Matuzala pamięta.

JOASIA: Mnie smakuje.

JACENTY (pije): A wino, istny ocet siedmiu złodziei!

JOASIA: Więc pocoż pan pije?

JACENTY: Piję żeby popchnąć ten suchy biszkopt, co mi utkwiał w gardle.

JOASIA: To lepiej go nie jeść.

JACENTY: Jem, żeby zagłuszyć smak tej lury, co mi gębę wykrzywia.

JOASIA: I tak popijając po jednym, a zagryzając po drugim, zje pan i wypije wszystko.

JACENTY: A czyjaż w tem wina?

JOASIA: Wina.

JACENTY: I panny... panny?... Jakże na imię.

JOASIA: Joasia.

JACENTY: Joasia. Założę się, że Joasi buzia słodsza od tego wina, od tego ciasteczka, ba, od miodu słodsza!

JOASIA: O tem nikt wiedzieć nie może.

JACENTY: Eh, eh, faramuszki — założę się, że są tacy, co wiedzą.

JOASIA: O przepraszam.

JACENTY: Jabym także rad wiedzieć.

JOASIA: Jeszcze czego! proszę.

JACENTY: Tak mi kwaśno po tem wińsku.

JOASIA: Niech pan zagryzie ciastkiem.

JACENTY: Kiedy już niema.

JOASIA: A co, nie powiedziałam! Tak pan ganił, wydziwiał aż (podnosząc butelkę) tu sucho i tu (mnąc torebkę od biszkoptów) czysto.

JACENTY: Dziękuj panna Bogu, zem ciebie nie połknął — ani pojmujesz, jakim głodny! Ale wracając do tej buzi... musi być jak ulepek, bo to widać, że słodka.

JOASIA (zalotnie): Widać, doprawdy?

JACENTY: Eh, co tam, skosztuję tego nektaru.

JOASIA: No, no, bardzo proszę, tylko bez tych poufałości.

JACENTY: Co za figurka! niech mię..

JOASIA: No, no, zdaleka — bo będę krzyczeć!

JACENTY: Nikt nie usłyszy.

JOASIA (ukazując drzwi z lewej): Owszem, sąsiadka co siedzi przy chorem dziecku — tu obok przeze drzwi.

JACENTY: Eh, co tam sąsiadka, niech bębna pilnuje. Ja chcę całuska.

JOASIA: Patrzcież państwo, taki stary!

JACENTY: Ale jary, ale jary! Chryste panie, co tu hałasu o jednego całuska! O jednego jedynie syngeltona, więcej nie—choćby panna sama prosiła. Zatem raz, dwa...

JOASIA: Idź pan mówię—bo...

JACENTY: Raz, dwa...

JOASIA: Bo zawołam sąsiadki z drugiego pokoju — a tam ospa, dziecko chore na ospę! Aj, aj, jeszcze się pan zarazić gotów — bo ja tego dziecka doglądam, rumiankiem poję. Całe w krostach, czerwone jak pomidor.

JACENTY (zaniepokojony): He? co? istotnie? naprawdę? ospa! ospa!

JOASIA: Straszliwa!

JACENTY: Eh, eh, może to żarty... może Joasia tak z umysłu, żeby mnie nastraszyć, he?

JOASIA: Ale, ale, któżby tam żartował z takich rzeczy! Ospa rzetelna, straszna ospa, jak babcię kocham.

JACENTY: Ospa, ospa do dyaska! A mnie się nigdy porządnie przyjąć nie chciała!

JOASIA: Dowód, żeś pan do niej skłonny.—O, to powinien pan się strzedz!

JACENTY: Święty Jacenty!... lecz może...

JOASIA (z udanym smutkiem): Dziecko bez nadziei konające.

JACENTY: Jezu Nazareński!... A ja prawie nie mam znaków szczepienia! — Precz, precz, zdaleka ode mnie, odsuń się panna, dalej, dalej, na drugi koniec (wiewa chustką). Ciarki po mnie latają. Ospa, uciekam. — A Wierzgalski? a dług?... co począć?... Boże, Boże! ha, pójdę czekać na ulicy—(woła) Barnaba! Barnaba!

BARNABA (wchodząc): Znajduje się tam nieco porządnějších rupiej, pościel, maszyna do szycia.

JACENTY: I ospa, ospa, tu — (ukazuje na lewo).

BARNABA: He? co wielmożny pan mówi?

JACENTY: Krósty w tym domu. Gwałtu! Stefcia, dzieci moje!

BARNABA: Umykajmy, umykajmy.

JACENTY: Zarazy nam tylko nie dostawało! W nogi! (Uciekają głębia).

SCENA ÓSMA.

JOASIA, później DZIECI.

JOASIA (sama śmieje się): Ha, ha, ha—a tom się pozbyła natrętów. Teraz co żywo nakrywać do stołu. (Nakrywa, nucąc—chłopcy wbiegają).

JÓZIO i KOCIO: Jeść! jeść! Joasiu jeść!

KOCIO: Mama przyszła już?

JÓZIO: Co dziś na obiad?

JOASIA: Ryż, mysz.

JÓZIO: I stokfisz — zobaczymy, zobaczymy. (Wybiega na prawo, za nim Kocio).

JOASIA: Aj, jeszcze mi tam poprzewracają na kominiel! (Wybiega za nimi—głębia wchodzi Wierzgalski).

SCENA DZIEWIĄTA.

WIERZGALSKI, JACENTY (za drzwiami).

WIERZGALSKI: Proszę, najpokorniej proszę, dalej, panie Jacenty, dalej. Cóż znowu—dlaczego rozmawiać mamy na schodach? Proszę dalej!

JACENTY (z sieni): Nie, nie, na schodach lepiej.

WIERZGALSKI: Ależ kto słyszał? Proszę, proszę do pokoju.

JACENTY (ukazując głowę tylko): Kiedy bo... kiedy bo...

WIERZGALSKI: Proszę dalej. Co za myśl... w sieniach!

JACENTY (j. w.): Ponieważ... ponieważ... Ponieważ ja lubię świeże powietrze.

WIERZGALSKI: Natychmiast otworzę okno (otwiera). O, już — pozwól pan teraz, szanowny panie Ślepowroński — proszę — proszę.

JACENTY: Bo widzicie, sąsiedzie, trzy razy miałem ospę szczepioną w dzieciństwie i żadną miarą przyjąć mi się należycie nie chciała.

WIERZGALSKI: Nie rozumiem...

JACENTY: A przecież to jasne. Z łatwością mogę się zarazić.

WIERZGALSKI: Lecz jakież związku?

JACENTY (ze strachem wskazując na lewo): Tu obok, przeze drzwi... dziecko konające, ospa, krosty jak pomidory!

WIERZGALSKI: Co pan mówi! Ospa, pomidory, gdzie? (Jacenty ukazuje na lewo). Tam? Któż ci nabajał bredni podobnych! Tam mieszkają dwaj kawalerowie, których w dodatku nigdy prawie niema w domu.

JACENTY (niedowierzająco): Doprawdy?

WIERZGALSKI: Oh!

JACENTY: Joasia zapewniała...

WIERZGALSKI: At, Joasi wieczne głupstwa się trzymają.

JACENTY: Słowo?

WIERZGALSKI: Najświętsze.

JACENTY: Aaa, skoro tak — (wchodzi na środek buńczucznie) to sędzę, mości Wierzgalski, że pora ostatecznie zwrócić mi mój dług—czekałem cierpliwie!

WIERZGALSKI: Słusznie, słusznie — należało oddawać — przyznaję — ale... ah, panie Jacenty, żebyś znał moje położenie.

JACENTY: Mnie do niego nic. Po sprzedaży folwaraku zostało ci parę tysięcy rubli—gdzież one?

WIERZGALSKI: Jeden tysiąc, jeden jedynie, słowo uczciwego człowieka.

JACENTY: Moja należytość właśnie — proszę o nią.

WIERZGALSKI: Złożona na kaucyą, bez której nie dostałbym tego miejsca.

JACENTY: A cóż mnie to obchodzi! Bierz, z kąd chcesz — ja bez pieniędzy nie odejdę, jak mi Bóg miły!

WIERZGALSKI: Panie Jacenty, prolonguj jeszcze na rok, miej litość...

JACENTY: Ani na godzinę! Prosto ztąd idę do komornika i każe aresztować graty, kaucyę. Ja drwić z siebie nie pozwolę!

WIERZGALSKI: Co! kaucyę! chleb i naukę moich dzieci! O, panie Jacenty, panie Jacenty, ty tego nie uczynisz! tyś się nie zastanowił!

JACENTY: Owszem, owszem, i tak zadługo byłem wyrozumiały.

WIERZGALSKI: Nie, to być nie może! Ty nie jesteś tak niehumaniczny, panie Jacenty. Toż cię znam... serce masz.

JACENTY: Nie, nie, milionkroć! nie licz na nie. Termin upłynął od dawna... przytem i jam... w potrzebie. Rób co chcesz a dawaj!

WIERZGALSKI: Ah, panie Jacenty, gdybyś wglądnał bliżej w naszą egzystencję opłakaną, przyjrzał się naszej niedoli!... Zobaczył w zimie odmrożone ręce moich dzieci, szron na tych ścianach, naszą strawę lichą przy pracy nad siły... Oh, panie Jacenty, ojcem jesteś i mężem, ulituj się nieszczęściu familijnego człowieka!... Spójrz na ten włos pobielały przed

czasem w walce z troską, z niepewnością o jutro... ulituj się, ulituj, daj zwłokę... ah, miłosierdzia!

JACENTY (wzruszony): No, no, ja to pojmuję, zapewne, to boli... Ale widzisz Wierzgalski... Stefcia... ty przecie znasz Stefcię... Otóż postanowiła córkę uczyć muzyki, więc fortepian potrzebny... i meble tak trochę, trochę chociaż odnowić... poleciła tedy surowo., rozumiesz... no, zresztą ty znasz Stefcię..! W dodatku z wełną zbajałem się kaducznie.— Ale, a i drugi mój dłużnik frrr — drapnął za granicę. Teraz znowu ty... posiwiałeś. Żal mi cię, żal z całej duszy ale trudno, kochanku, trudno, przyrzekłem Stefci, dałem słowo... pojmujesz tedy że... że...

WIERZGALSKI: Ha! dziej się wola Boża! Obiecałeś żonie, rób swoje — znać taka moja dola!

JACENTY: Ooh! tylko nie myśl znowu, że ja tak bardzo boję się Stefci — ot, także mi koncept. Ona to właściwie drży przede mną, tyranem nazywa. Chociaż Bogiem a prawdą, jam na tyrana nie stworzony wcale. Brzydę się nawet wszelkim despotyzmem i jeżeli mam wyznać szczerze, to jedyną według mego zdania formą rządu jest... aj, aj, restauracya chyba jak na teraz — bo aż mię ssie w dołku!

(Wchodzi Anna głębia).

SCENA DZIESIĄTA.

WIERZGALSKI — ANNA, JACENTY.

ANNA: Spóźniłam się trochę — lecz taki nawał roboty w magazynie... Al szanownego pana Jacentego, naszego do-brodzieja rączki całuję.

JACENTY (zakłopotany): A, dzień dobry, dzień dobry.

ANNA: Opatrzność nasza! ojciec, opiekun! Gdyby nie pańska pomoc i tego kawałka chleba byśmy nie dostali — (do męża) Dzieci już są?

(Odchodzi na prawo).

WIERZGALSKI: Panie Jacenty, zmiłuj się, tylko przed Anną ani słowa — zagryzłaby się kobieta!

(Wbiegają chłopcy — za nimi Anna i Joasia z wazą).

SCENA JEDENASTA.

CIŻ, JÓZIO I KOCIO.

JÓZIO: Obiad, obiad!

KOCIO (całując ręce matki): Mamusia kochana!

ANNA: Siadajmy do stołu. Dzieci, krzesło dla szanownego pana Jacentego.

JACENTY: Oj, ja dziękuję, dziękuję.

ANNA: A toby ślicznie wyglądało, żebyśmy jedli sami — niechże pan będzie łaskaw tu, przy mnie.

JACENTY: Nie głodnym — dziękuję. (na stronie). Czuję wilczy apetyt.

(Wszyscy siadają do stołu i jedzą).

JÓZIO: Wyborna zupa!

WIERZGALSKI: Istotnie, bardzo smaczna.

ANNA: Mój mąż niezmiernie lubi grochówkę.

JACENTY: Przyznam się pani, że i ja za nią przepadam!

ANNA: Jakżem rada; teraz już nie pomogą wymówki — nalewam.

(Podaje talerz zupy).

JACENTY: Ale bo... doprawdy... pani taka grzeczna.. mnie wstyd.

WIERZGALSKI: Nie pogardzajcie, panie Jacenty.

JACENTY: Cóż znowu! (zaczyna jeść). Aj, (na stronie) Cóż to za szkaradzieństwo... ph, ph!

ANNA: Mój Boże, łaskawemu panu pewno nie smakuje — pan nawykły do innej kuchni, wytwornej.

JACENTY: Przeciwnie, przeciwnie, doskonała — prosiłbym nawet o kawałek wędzonki.

ANNA: Ah mój Boże, panie łaskawy — u nas mięso dwa razy na tydzień tylko.

JACENTY: O, przepraszam; przepraszam — nie wiedziałem — (na stronie). Nie mają wędzonki do grochu, patrzcież państwo, a to dopiero! no! no!

JÓZIO: Pyszna zupa! proszę jeszcze.

KOCIO: I ja, i ja proszę, bis.

JACENTY: W dodatku, jak im smakuje, no; no; to już bieda całą gębą! (je) Ph! niepodobna przełknąć... biedni ludziska!

(Joasia wnosi półmisek).

JÓZIO: Pierogi z serem!

KOCIO: A to dziś obiad wspaniały!

JÓZIO: Proszę dużo, dużo, dużo!

JACENTY (na stronie): Dalibóg, gdy pomyślę o moich bębnach jakie wybredne...

ANNA: Może pan dobrodziej pozwoli pierożków...

JACENTY: Całuję rączki — (na stronie) Jeszcze tej bryi przełknąć nie zdołałem. Co za jadło, ph, ph, wołałbym z głodu umrzeć.

ANNA: Wiesz mężu wielką nowinę? Kocio dostał korepetycję.

WIERZGALSKI: Co? Kocio?

KOCIO: Tak tateczku, tak. Dwa ruble na miesiąc i podwieczorek, za przygotowanie do pierwszej klasy jednego malca.

JACENTY: Malca! A Kocio sam w której?

KOCIO (z dumą): Ja panie, — ja w trzeciej.

JACENTY: Doprawdy? ileż lat liczysz?

KOCIO: Skończę trzynaście za dziesięć miesięcy.

JACENTY: I już w trzeciej klasie? i udzielasz korepetycyi?

KOCIO: Muszę panie, muszę uczyć się pilnie i pracować, żebym mógł jaknajprędzej ulżyć moim kochanym rodzicom, takim teraz biednym, takim biednym!

(Całuje ręce matki).

JACENTY (wzruszony): Ulżyć rodzicom! doprawdy? doprawdy... i już myślisz o tem — hm, hm, pocziwe z ciebie dziecko, ulżyć rodzicom! (na stronie) A mój urwis czternasty

rok zaczął i czytać porządnie nie potrafi. Stefcia utrzymuje że słabowity.

(Wszyscy powstają od stołu — dzieci dziękują rodzicom i od, chodzą wraz z Anną na prawo).

SCENA DWUNASTA.

JACENTY, WIERZGALSKI.

(Wierzgalski stoi oparty o framugę okna w ponurej zadumie. Jacenty zafrasowany chodzi po scenie, wymachując rękoma, jakby toczył walkę wewnętrzną).

JACENTY (do siebie): Hm, hm, to szczególne... Ten pędrak wzruszył mnie do głębi temi swemi... korepetycjami, dla ulżenia rodzicom!.. Smarkacz... jakie to już przywiązanie... Bęben! jakie sercel! hm, dalibóg, jak Boga kocham... teraz mnie nawet wstyd odezwać się... Ale z drugiej znów strony Stefcia... a, Stefcia... Milion kroć... to mi pozyczał (głośno) Słuchaj Wierzgalski, jak wy u czarta jadać możecie podobnie podłą strawę! Jaby trzeciego dnia kopyta wyciągnął — toż to — daruj, pomyje nie znpa! — Tylko dwa razy w tydzień mięso gotujecie... to głupio — dalibóg głupio! bardzo głupio!

WIERZGALSKI: Wkrótce może i na to nie starczy.

JACENTY (do siebie): Krew szlachecka nie gorsza od mojej, w takiej poniewiercel.. hm, hm — (przyglądając się Wierzgalskiemu). Eh, do dyaska, porzuć-że już raz tę minę rozpaczliwą... Cóż u kaduka, toć żydem nie jestem, pijawką — Hm, hm, możebym ja i mógł coś dla was.

WIERZGALSKI: Dla dzieci miłosierdzia błagam! dla dzieci!

JACENTY: A rozumie się, rozumie, że dla malców — dla tego Kocia niecnoty, co już korepetycyi udziela, pędrak!.. Tylko znów ze Stefcia będąż termedye, ha, dziej się woła Twoja Paniel! Nie mogę przecież wydrzeć im ostatniej deski z pod nóg... No, Wierzgalski, słuchaj waszeć, uszy do góry... oddasz, kiedy będziesz mógł; co tam, górą nasza! Prolonguję, do stu tysięcy prolonguję!

WIERZGALSKI: Prolongujesz! o zbawco, o dobroczyńco!

(Woła ku prawej).

Anno, dzieci, pójdźcie, podziękujcie naszemu dobrodziejowi!

JACENTY: Dajże pokój (na stronie) Co to będzie za przeprawa w domu! nol — (nuci cicho):

„Kto się w opiekę podda Panu Swemu

„A całem sercem szczerze ufa Jemu —

„Śmiele rzec może...

(Anna i chłopcy otaczają Jacentego, dziękując).

SCENA TRZYNASTA.

WIERZGALSKI, ANNA, JACENTY, DZIECI.

JACENTY (do Kocia): A ty, bębenku, tu 25 rubli zadatku na przyszłe korepetycyę, których udzielać musisz mojemu urwisowi, skoro do szkół przybędzie. — Naści i tobie (daje Józiowi) żeby nie było zazdrości.

(Wchodzi głębią Barnaba — Jacenty tai przed nim swój czyn).

SCENA CZTERNASTA.

WIERZGALSKI, ANNA, DZIECI, JACENTY, BARNABA, JOASIA.

KOCIO (uradowany, podając matce papierek): Mamo, mamo, to dla ciebie na szlafroczek.

(Jacenty daje im znaki tajemne, by milczeli przed Barnabą).

BARNABA: Jakże będzie teraz z wełną wielmożny panie, bo już i po 82 dać nie chcą, nie chcą.

JACENTY: A bodaj oni światła dziennego nie oglądali! Zapakować i duchem do domu. Każdy ma swoją ambicyę przecie. Tylko o mnie powiesz acan Stefci, żem chory i piję wody w Saskim ogrodzie.

BARNABA: Aha! to i tu? — (dmucha na dłoń, wskazując na Wierzgalskich) bagatela!

(Wierzgalscy na uboczu radują się z dziećmi).

JACENTY: Właśnie że nie „bagatela“! — bo oddali.

BARNABA: Oddali? aha, oddali, dudka na kościele — ciekawym, zkad mogli oddać.

JACENTY: No, więc nie oddali — ale... ale oddadzą na... Ś-ty Michał.

(Barnaba się śmieje).

Z czegoż acan tak się weseli? nie w porę...

BARNABA: A, bo wielmożny pan zawdy wyprzysięga się litości, jak żaba błota, i zawdy swoje robi. Ja z góry wiedziałem, że na tem się skończy... z sercem to darmo, to darmo.

JACENTY: Więc cóżem miał robić? he? pytam.

BARNABA (śmieje się): Darmo, darmo.

JACENTY: Więc cóżem miał robić! gadaj acan — (po chwili jakby szukając przekonywającego argumentu). Ah! jadłeś acan kiedy grochówkę bez wędzonki? Przyznaj się, jadłeś?

BARNABA: Przez wędzonki?.. Nigdy, wielmożny panie, nigdy!

JACENTY: A widzisz! a oni jedzą! To też skorom to zobaczył, a zwłaszcza skosztował — (otrząsa się) a! Serce mi się rozdarło!

BARNABA: Przez wędzonki!!

JACENTY: Nie inaczej. Goły groch rozbebrany, rozbebrany wodą!

(Ociera łzę).

BARNABA: Wodą!!

JACENTY: Jak Boga kocham! Nalegają, żebym jadł — wziąłem parę łyżek i zimny pot mnie oblał, siły opuściły!.. Pomimo wściekłego głodu ani przełknąć! W życiu podobnego paskudztwa w gębie nie miałem — jak mi Bóg miły.

BARNABA: Ba, wielmożny pan taki smakosz!

JACENTY: Ręczę ci, że sama nawet Stefcia, posiadająca taką moc charakteru, że ho, ho, ho!

BARNABA: Ba, ba, ba!

JACENTY: Gdyby skosztowała tej bryi, musiałaby uledz, musiała! jakem Jacenty! Cóż chcesz — człek nie kamień!

Prolongowałem i nie żałuję! A teraz Barnasiu, marsz na połędwicę, bo was tu wszystkich pozjadam z kośćmi!

(Do Wierzgalskich).

A z wami drodzy moi do zobaczyska (całuje Kocia w głowę) do zobaczyska, daj Bóg w lepszej doli!

(Odchodzi głębia, Barnaba za nim).

=====